KURYEREK POZNAŃSKI.

No. 38. **Poznań, dnia 23. Sierpnia 1865.** **Rok 1.**

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień: w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartału wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza. Zamiejscowi prenumerować mogą w wszystkich pocztach w Prusiech i w księgarniach, cena 1 tal. 2 śrg. 3 fen. — Miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego ul. Strzelecka No. 1.

☞ Prenumeratę na **Kuryerka Poznańskiego** przyjmują: **Redakcya** ulica Strzelecka No. 1.; pan kupiec **Kirszenstein**, ulica Wrocł.; pan księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; pan prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; pan kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; pan kupiec **Cichowicz**, ulica Berlińska; pan cukiernik **A. Szpinger**, naprzeciw poczty; pan **Ernest Malade**, ul. Fryderychowska Nr 19.; kupiec pan **P. Nowicki**, ul. Wrocławska Nr. 9.; pan **W. Graffstein**, ul. Jezuicka Nr. 8, również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

JULIAN DUSZYŃSKI.

(*Ciąg dalszy.*)

Wacław Rzewuski, ten dzielny mąż, że tak powiem łaską Bożą przeznaczony na Hetmana Ukrainy, na wodza szlachty polskiéj, wymowny, hulaszczy, waleczny doświadczony i rozumny — między pankami i szlachtą Podola i Ukrainy, był orłem i sercem i głową, ale jastrzębie nie chciały na to pozwolić, opierając się na śmiesznej zasadzie sponiewieranego monarchizmu, że każdy szlachcic polski zrodzony do korony, że ma prawo do korony — i oni chcieli być Hetmanami. Wacław Rzewuski mówił obszernie, poetycznie, o obowiązkach wodza i partyzanta — i między innemi rzeczami jak się orientować w stepach, poznawać północ, południe, wschód i zachód, po obrośnięciu drzewa, po schyleniu się trawy — blizkość lub oddalenie zamieszkałych miejsc po ptakach i innych przyznakach — a ludzie prywaty i występku, chodzili między dobroduszną a ciemną szlachtę — i mówili — co on nam prawi o dębach, o mchu, o gołębiach — nam trzeba Moskali i bić Moskali — szlachta piła i krzyczała prawda — precz z Faryzami i obrali na Hetmana niedołęgę starca, który zgubił powstanie, a Wacław Rzewuski, który mógł je prowadzić, jak wodzili Wykowscy i Czarnieccy, zginął jak najezdnik pod Lewuchami.

Kiedy Duszyńskiemu czytano foliały rozpraw i broszur i dzienników, i manifestacyi i protestacyi — on na to wszystko kiwał głową, powtarzając: co tu rzeczy — co tu rzeczy, a prócz króla nic do rzeczy — Mojem zdaniem — wydrukować kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów kalendarzyka z nagłówkiem: — Adam pierwszy, Król Polski, Wielki Książe Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki itd. itd. — a potem ministerya — urzędy cywilne i duchowne. — Hetmanów, pułki — piechoty, jazdy — artyleryi — a wszędzie naprzeciw dygnitarstwo — stopni, próżne — białe miejsca — tak, żeby każdy mógł sobie powiedzieć, i moje nazwisko może tu będzie położonem. I każdy będzie stronnikiem monarchy, który będzie mógł dawać urzędy i stopnie. Przy tem wybić monety złotej, srebrnéj i miedzianej, pewną ilość z wizerunkiem króla — ale nie na jakicheś tam kompozycyach metalowych, na pamiątkę i do numizmatyki, ale na dobrym, czystym kruszczu, dobrej wagi. Bo u ludu ten królem, kto urzędy, stopnie rodzaje, kto monetę bije, ale prawdziwą, bo jaka moneta, taki król — prawdziwa, prawdziwy — fałszywa fałszywy. A zobaczycie, że więcej skutku zrobi takie prowadzenie sprawy, jak rozprawy i broszury, ze wszystkiemi artykułami choćby i kanonicznemi, bo przekonywać przekonanych pismem nie przekonasz. — Śmiano się, o to Turek, o to barbarzyniec. — A Duszyński wrócił do fantasmagorycznego istnienia, opuścił Paryż i przyjechał do Bourges udawać Naboba.

Nakładł w kilka skrzynek tłuczonych kamieni z piaskiem, z wierzchu pokrył złotemi i śrebrnemi pieniędzmi rozmaitych krajów. Po gazetach ogłosił, kto jest i że ma znaczne skarby do rozdania między swoich dalekich krewnych — i znalazł i krewnych — i porzucone kochanki, i nawet synów z nieprawego łoża — skarby to ponęta, a emigracya to mus do spekulowania czy to na polityczne, czy to na prywatne wyprawy.

I tak jedna oficerka już dawno nie rachująca swoich lat, ale jeszcze fertyczna, zagrała na fortepianie i zaśpiewała dumę ze wspomnień wojny hiszpańskiej. Duszyński się rozpłakał, przypomniał kraj, w którym noga jego nigdy nie była, wyprawę wojenną, o której nigdy mu się nie marzyło tylko z opowiadań, i kochankę, która w Hiszpanii po polsku śpiewała — patrzał — patrzał — oficerka płonęła w rumieńcach, bo była zawsze aż zanadto rumianna — ukląkł nasz bohater, a bohaterka rzuciła mu się w ramiona — poznali się — tak się niegdyś kochali nad Ebrem i tak nad Ebrem śpiewali. Duszyński brał Ebr za Słucz rodzinną — a ona w duszy sobie mówiła, że to Pilica. Ale szczątki brylantów i tyftyków egipskich rzucone były pod nogi, w darze, poznanej kochanki, i o tym romansie dziwne rzeczy pleciono w mieście. Nawet jeden z emigrantów, kandydat na podsędka z Wołynia — przyznany w kontrolach francuzkich za wielkiego podczaszego korony (grand échanson de la couronne) napisał poemat — wierszem nie rymowanym, trochę przydługim, dla lepszego zrozumienia rzeczy, o tej wiernej miłości — wystałej, ale ognistej, jak węgierski tokaj; publikum wierzyło. — Kochanków miłość, wysnuta z illuzyjnej czyli zmyślonej przeszłości, może była lepsza, jak gdyby przeżuwała rzeczywistą przeszłość, bo nie było zwiędnień i ruin dla tych, którzy nie znali kwiatu w rozwoju i życia swojego w kwiecie.

Razu jednego młody porucznik, krasnej urody, w rozmowie zoologicznej, oświadczył, że najszlachetniejszym zwierzem między wszystkiemi, nie wyłączając konia i lwa, jest wół — siwy, z wielkiemi rogami, ukraiński, taki, jakich setkami Ukraina wysyła do Włodawy i do Ołomuńca — wszyscy się śmiali i żartowali a Duszyński przypatrywał się młodemu podporucznikowi i łzy mu się kręciły w oczach: Jak się ty nazywasz zawołał — a kiedy ten mu powiedział imie i nazwisko — rzucił mu się do szyi, mało nie zadusił w objęciach — łkając Florek — Florek — Florek, toś ty mój syn? — i bez zająknięcia się zaczął opowiadać swój romans z matką Florka. — Szczęśliwa to była chwila, pamiętam jak dziś, podziwiałem jej wdzięki, na kępie, między oczeretami, ależ bo była piękna; takich piękności i w Hiszpanii i w haremach Wschodu nie masz, podobna była do Florka — ale to kobieta, to co innego — za kępą był staw, a za stawem łąki i na niej stada wołów. Salusia, bo tak się nazywała, nieprawda Florku, zaczęła się tulić do mnie i przestraszona szeptać — on tam on tam — kto on — patrzę — aż to mężulo de nomine — objeżdża swoje woły — bo był zawołany wolarz — przytuliłem do siebie Salusię, by jej przestrach odegnać — i widzicie, że wrażenie o wołach zostało w synie. Biedaczka może się bała, może zazdrościła wołom, bo to kobieta zawsze kobietą, choć psoty płatała, choć do mnie się tuliła, chciałaby, żeby i tamten był u jej nóg, a nie przy rogach wołów — oj kobiety! kobiety! one na wspak tych odalisk wschodu, chciałyby mieć haremy z mężczyzn, byle im pozwolono — zobaczylibyście, coby to było. — Ale potem o tem — inną razą — a teraz widzicie, że Florek, jak bałwochwalca Egipcyanin czci woła Apisa — mój Florku — mój ty synie — czysty portret Salusi — chodź, niech cię uściskam. —

Ledwie wstrzymano Florka od obicia potwarcy — ale widząc, że wszyscy się śmieją i on zaczął się śmiać. Duszyński po kilka razy zapłacił długi karciane i inne za Florka —

i jak to mówią, od stóp do głów oporządził znalezionego syna i karmił wyśmienitemi befsztykami, żeby ugruntować wrażenie o szlachetności siwych i rogatych wołów.

Po tym wypadku zjawiły się dawne kochanki Duszyńskiego Francuzki, Hiszpanki, Niemki, Włoszki, Polki a nawet Kreolki i Murzynki, bo Julian w bohaterskiej swojej duszy przyznawał się do uczestnictwa w wyprawie St. Domingo — wpierał w Jenerała Małachowskiego Kazimierza i w pułkownika Rusockiego że z nimi był, a ci ludzie prawdy, rycerza czynu, nie przypominali sobie, ale i nie zaprzeczali. — W takiem był usposobieniu Julian Duszyński, że gotów był się przyznać do ojcostwa Faustyna Sulaka i całego jego ministerstwa. A synowie i córeczki poczęte w onych fantasmagorycznych peregrynacyach spadały gradem na Duszyńskiego — gradem dziurawiły jego kieszeń już i tak dziurawą. Jak tylko która gryzetka, wyrzucona na bruk, według naszego wyrażenia się, przez kochanka niemiała za co zjeść śniadania, jak tylko który gamin, zanadto długo wałęsał się po ulicach w chłodzie i głodzie, zaraz podawali petycye, dopraszając się o ojcostwo Duszyńskiego — z induktem romansowej awantury — i dostawali mniej więcej brzęczącej monety.

Żaden hebrajczyk, dawnych czasów, starego zakonu, żaden Muzułmanin haremów Wschodu, żaden Monarcha zalotny, nie miał tyle potomstwa, ile go miał Duszyński.

Jednego dnia przyniesiono mu z poczty trzydzieści i dwie prożby z Chateslerault — dopominające się ojcostwa Duszyńskiego. Julian czyli Sulejman Bey był w siódmym niebie radości i pokusy — pokazywał te prożby i opowiadał:

— Wy może nie wiecie, co to było w tem Chateslerault świat nic podobnego nie słyszał i słyszeć nie będzie, otoż ja wam opowiem: Siódmy pułk Nadwiślański ułanów, w którym podówczas byłem porucznikiem — ale jakim — śliczota — jeszcze większa jak Florek, ciągnął na wojnę do Hiszpanii. Pułkiem dowodził Konopka — dzielny żołnierz — dzielny szlachcic, ale miał na zębie, do Francuzów, za jakąś tam siostrzyczkę — czy kochankę — nie wiem dobrze — której huzary Suberwika figla spłatali, jak opowiadała biedaczka, mimo jej woli — jak oni mówili, z dobrej woli, z patryotyzmu dla Francuzów. Konopka postanowił się zemścić, wywiedział się, że huzary byli rodem z Chatesleraut (Szaterleo) — że w tym mieście były najszykowniejsze kobiety Francyi, bo to jest rzeczą dowiedzioną, że jeśli pięknością, uczuciem, talentami nawet mogą innych narodów kobiety równać się, a nawet przewyższać Francuzki, szykownością nie — Jak tylko przyszliśmy do tego sławnego miasta, Konopka z oficerami ruszył na wizyty i na zaprosiny na bal — w obozie. Obóz był o ćwierć milki od miasta, pod pięknym gaikiem, oświecenie w ognie bengalskie było cudowne — wszędzie trofea ułańskie — orły polskie — przysmaków, jadła, napitków, ryczałtem, jak to mówią po uszy, jak u szlachcica polskiego, ale nic piękniejszego nie było, jak te panie, jak te panienki śliczne, figlarne, a takie szykowne, że aż do tej pory jeszcze człowiek młodnieje na wspomnienie o nich; za nic huryski raju a nawet samego nieba. Choć wielkie panie, takie były czarodziejki, jak gryzetki czy loretki, za któremi biegają po bulwarach Paryża najsławniejsi nasi Jenerałowie polscy — zawsze gotowi do awansu choć wiedzą, że w końcu konieczną się stanie rejterada. — Tańczyliśmy i umizgaliśmy się; po chwili, pułkownik prosił wszystkich mężczyzn, by pić zdrowie Cesarza; stanęli na wezwanie — szampan zaszumiał w kielichach i pili, ale w tej samej chwili ułani pod bronią płotem przegrodzili ich od kobiet i frontem idąc, spychali do miasta. Myśmy sami zostali z kobietami; co tam było, wy wiecie — nie trzeba wam mówić — ale dalibóg nie było żadnego krzyku — żadnego płaczu, tylko mon ami, mon ami — byliśmy przyjaciółmi, i któżby nie był przyjacielem; byliśmy w niebie, i choćby człowiek po śmierci poszedł do piekła, zawsze i tam powie: byłem w niebie. — Mężczyzni, choć protestowali, grozili, zagoniono do miasta, chwała Bogu bez żadnego zabójstwa, nawet bez rany i pobójki. Nazajutrz już dobrze słońce w górę weszło, kiedy się skończyło nasze niebo. — Musieliście widzieć dwa obrazy sławnego Creuza: Jeden przedstawia dziewicę, idącą na spotkanie kochanka, na rendez-vous: wszystko na niej wyprasowane, wychuchane, ani zmięcia ani rozpięcia, jak to mówią u nas w Polsce, w ręku kwiaty świeże barwą, świeże wonią — oczki błyszczą zalotnie, trochę w nich strachu — więcej ciekawości. Takiemi były nasze szaterloranki, kiedy szły na tany. — Drugi przedstawia tę samą dziewicę wracającą ze spotkania — w szatach luby nieład, pełno zmięć, pełno rozpięć; kwiaty pochyliły czoła w dół, i oczki w dół spuszczone; łzawe rozkoszą, miłośne wspomnieniem i żalem. — Takiemi były nasze szaterloranki wracając z tanów. Trąbki zagrały — na koń — na koń ułani, i poszliśmy spiesznym pochodem.

Ten wypadek tak był niespodziewanym dla miasta Chaterlerault, że kilka dni przeszło, nim mieszkańce się opamiętali i do siebie przyszli — i zdecydowali się na podanie skargi do Cesarza. Już byliśmy w Hiszpanii i właśnie kiedy pod Bilbao rozrobiliśmy w puch cztery bataliony Anglików, tych Dżonbulów, wyspiarzy, czego nigdy nie bywało przed nami — żadna jazda tem się pochwalić nie mogła — takeśmy się gracko spisali, jak w gaiku pod Chaterleraolt — kiedy przyszedł rozkaz od Cesarza Napoleona, żeby, pułkownika Konopkę rozstrzelać i ułanów przedziesiątkować — i resztę rozebrać po innych pułkach. Marszałek Su het już był posłał raport o naszem zwycięztwie — więc wstrzymał się z wykonaniem wyroku, kazał iść dalej i bić Anglików. Szliśmy i biliśmy i żaden nie pomyślał o wymknięciu się wyrokowi — taka to szlachta polska — tacy to ułani polscy. Właśnie w dzień, kiedyśmy Anglikom skropili skórę porządnie pod Kindad-Rodrigo — przyszedł rozkaz Cesarza, odwołują y wyrok, wracający nam cześć i dobre imię — a Marszałek Suchet dodał: — Cesarz uważa tę psotę za fraszkę, za lat ośmnaście będzie miał dzielnych ułanów z Chaterlerault. I od tego czasu pokolenie nowonarodzone zowie się — mali Polacy, ułani. — Widzicie, jacy my gracze — i rzucił trzydzieści dwie prożby do przeczytania.

Zmieszał się cokolwiek, jak mu przeczytano na każdej prożbie, wybieram się w drogę, by uścisnąć papę, by upaść do nóg papie — od mamy przywieść wspomnienia papie. Ale jeszcze gorzej było, kiedy się drzwi otwarły i weszły trzy koczkodany, trzy czepiradlice już podstarzałe, mieniące się Ireną, Adelaidą i Leonidą z Chaterlerault i rzuciły się w objęcia Duszyńskiego. Jak Twardowski na takie acerbum dictum, ku drzwiom spozierał, ale odważniejszy udawał, witał, przebąkiwał: — była śliczota, a teraz, teraz, widzicie, co się zrobiło, prosił siedzieć — siadły, rozgospodarowały się, wszyscy goście się powynosili.

Przypomnień tych nikt świadkiem nie był, ale na drugi dzień nie stało Juliana Duszyńskiego, zniknął jak kamfora — w mieszkaniu jego zostały trzy Szaterloranki, nad trzema kuferkami, przewracającemi potłuczone kamienie i piasek, z wykrzyknikami oh le farceur!

W kilka dni później była wydrukowaną wiadomość w gazetach, że Jenerał Chrzanowski pod przybranem nazwiskiem Jenerała King wyjechał do Stambułu i zabrał z sobą, jako radzcę, adjutanta i tłumacza sławnego wędrowca Wschodu Juliana Duszyńskiego, znanego tam zaszczytnie pod nazwą Sulejman Beja.

W Stambule, Duszyński człowiek fantasmagorii, nie mógł się zgodzić z Jenerałem Chrzanowskim, człowiekiem realizmu. Duszyński chciał Czerkiesów pchnąć na Moskwę, za Kubań, Bośniaków na Austryę, angielskiemi pieniędzmi skojarzyć Kiwę z Bohará i odświeżyć Moskiewskie tatarskie jarzmo — wywołać z cieniów W. Ks. Konstantego i posłać go Samozwańcom w goście do Cesarza Mikołaja, odświeżyć w cesarstwie rosyjskiem zieloną księgę nadziei Pestela i Murawiewa a w Polsce Templaryuszów, Majewskiego i Piotra Moszyńskiego — jednem słowem, zamącić świat, jak kolory w Kalejdoskopie Wszystko widział w różowym kolorze i wszystko uważał za podobne, o swój byt nie dbał, o swej przyszłości nigdy nie myślał. Jenerał Chrzanowski, człowiek doktryny, rozumu i rachunku, robił to, co mu kazał Lord Ponsorby, nigdy więcej częściej mniej, żeby nie skompromitować swego osobistego bytu, i za każdym zdarzonym wypadkiem, zabezpieczał swoją osobistą przyszłość — przez duch krytyki, we wszystkiem widział tru-

dność i niepodobieństwo. Takie dwie sprzeczności w charakterach nie mogły iść z sobą w parze w polityce. Są ludzie, którzy utrzymują, ale trudno temu uwierzyć, że sprzeczność w charakterach podsyca i utrzymuje miłość, że trzeba koniecznie, aby para miłosna kłóciła się i biła się nawet, aby potem mogła się godzić i całować. To mniemanie stwierdza ową gadkę o skargach kobiet moskiewskich — „mój mąż mnie nie kocha, bo nie bije“ — może być w miłości, bo kobiety to dziwne, niepojęte istoty — a w polityce, między mężczyznami, to nie — zgoda w charakterach, w dążeniu przynosi tylko skuteczność w działaniu.

Jenerał Chrzanowski siedział zamkniętym w mieszkaniu posła angielskiego, rzadko się kiedy pokazywał w towarzystwach, rzadko w mieście; pracował nad temi projektami organizacyi wojska ottomańskiego, które potem zręcznie zastósowane, czyli wprowadzone w życie przez Seraskiera Riżę Paszę, stworzyły siłę zbrojną, potężną i nieprzebraną, Państwa Piękna to praca Jenerała Chrzanowskiego, piękna posługa oddana przez księcia Adama Czatoryskiego, w imieniu Polski, najwierniejszemu jej sprzymierzeńcowi, cesarzowi ottomańskiemu.

Duszyński ciągle przebiegał miasto muzułmańskie w turbanie, jako Sulejman Bej, miasto chrześcijańskie w kapeluszu, jak Julian Duszyński, wszystkich nawet Ormian i żydów pobudzał do wojny na Moskwę.

Na kilka czasów przed bitwą Nezibską Lord Ponsorby przedsięwziął postawić na czele wojska ottomańskiego Jenerała Chrzanowskiego. Duszyński ogłosił po całem mieście, że Jenerał Chrzanowski, jak drugi Cezar pójdzie, zobaczy i zwycięży Egipcyanów. Poseł rosyjski zaprotestował przeciw użyciu Jenerała Chrzanowskiego. Lord Ponsorby wyrobił firman mianujący naczelnym wodzem Jenerała Chrzanowskiego, dał mu go, polecił pośpiech, bo wiedział, że w skutek protestacyi w kilka dni, musi być odwołanie, spóźnił to odwołanie i myślał, że Jenerał Chrzanowski stanie się Cezarem dla Turcyi. Duszyński naglił do podróży, ale Chrzanowski wiedział o wszystkiem i rachował. Na czele wojska stanąć mogę. ale czy pobiję czy nie pobiję nieprzyjaciela, to jeszcze niewiadomo — rachował bagnety, szable, harmaty, mechanizm wojsk, pozycye, jazie zajmują, ale nie rachował ani sprawy tureckiej, ani sprawy polskiej — rachował, coby się stać mogło z naczelnym wodzem po przegranej, ale nie kombinował coby było z Polakiem po wygranej — nie dojechał do Neziba, zatrzymał się kilka dni w drodze i doczekał się odwołania i zaraz pierzchnięcia wojska ottomańskiego.

Jenerał Chrzanowski wrócił do Paryża z zapewnioną pensyą angielską, z nienadwyrężoną sławą i reputacyą wojenną, z imieniem nawet Wielkiego Wodza do przyszłej wojny, jako nadzieja organizacyi wojennej Polski, jako skarb strategii i taktyki polskiej.

Julian Duszyński wrócił do Paryża do ks. Adama Czartoryskiego. — Mości Książe. czyli raczej Królu i Panie Miłościwy, pani Chrzanowska świętej pamięci mogła obronić Trębowlę, ale Jenerał Chrzanowski nie podniesie na nogi Polski. Nie takich ludzi trzeba używać do sprawy — tacy jak on niech siedzą, piszą i drukują. ale nie używać ich w polu, gdzie trzeba szlachty de hajde a de jure — do szabli i do pióra, oczajduszów, co nie dbają o to, co jutro będą jedli — gdzie i jak na starość kości złożą, ale dbają żeby Polska była; nie rachują, ni kombinują, żeby czekać albo cofać się, ale działają, zawsze naprzód, albo król albo kapucyn. Co mi po takich Jenerałach których zawsze i ciągle trzeba tłumaczyć złem wykonaniem ich rozkazów, deszczem, słońcem, chłodem i głodem, tacy dobrzy nie dla nas. Miłościwy Panie — niech pisze — nie posełaj go na missye i wojny, bo będzie wstyd Tobie, a szwank sprawie. — Powiedziano, że Julian Duszyński bałamut, stary sowizdrzał — i oddalono ze służby królewskiej, podówczas, na faubourg du Route.

Dalszy ciąg nastąpi.

Pro publico bono.

(Dumanie starego szlachcica.)

„Dziwnie się plecie — na bożym świecie“ —
Powiadał nasz Jan z Czarnolasu;
I dziś nielepiéj — nasz świat się sklepi —
Toż gadka stósowna do czasu....

Oh — złe dziś rzeczy — ma świat na pieczy!
Inaczéj to niegdyś bywało,
Gdy człek z ochotą — życie i złoto
Pro publico bono niósł z chwałą...

Dziś każdy bratek — ma własny światek,
Jak ślimak swą własną skorupę;
A niech kraj woła: — „ratuj kto zdoła!“ —
To rzuci okrawki i łupę.

Oh — smutne czasy! — bo w sercach kasy
Zakłada łakomstwo obłudne;
A rozum nowy — w liczbach surowy: —
Toż liche to życie i nudne.

Bo dziś mospanie — za grosz dostanie,
Co żywnię podoba się człeku; —
I cześć i cnotę — i wolność złotę,
I drugie pamiątki od wieku...

Bo to, co dawniéj — świeciło jawnie,
Dziś poszło jak gałgan na śmiecie;
I ojców prochy — z pod obcéj sochy
Wnet wicher do szczętu rozmiecie!...

Oh — wspomnieć miło — co się prześniło!
Choć wszystko przepadło tak marnie....
Bo gdzież to godło — co ojców wiodło
I tknąć się nie dało bezkarnie?

Gdzie nasza wiara — ta święta, stara,
Co biła zamorców i chanów;
Gdzież te postacie — co w zbrojnéj szacie
Broniły kresowych kurhanów?

Gdzie ten hart duszy — co go nie skruszy
Ni przemoc ni bojaźń o siebie;
Gdzież krew rycerska — i dłoń braterska,
Co pomoc przyniosła w potrzebie?

Wszystkie te wzory — poszły na wiory! —
Lecz nie — nie! — ja mylę się pono: —
Zostały herby — i w mieczach szczerby
Zyskane „pro publico bono.“

I stare szaty — i antenaty
Tak sławne z swych dzieł lub orężów: —
Toż niedość długi — rejestr zasługi,
By zwał się synami tych mężów?...

Przejażdka z Poznania
do
Wiednia, Tryestu i Wenecyi.

przez M. Br....

Ciąg dalszy.

Wieża, o której wzmianka, zawiera w górze ludzkiéj wielkości Matkę Najświętszą z Dzieciątkiem Jezus, pewnie podług obrazu Rafaela, Madona à la Sella: trudno w południe na Nią patrzeć, bo blask złota, olśknionego słońcem, bije tęgo w oczy. Pod tym wizerunkiem, ów lew afrykański z grzywą kolosalny złoty, jako godło św. Marka Ewangelisty patrona Wenecyi i też godło całéj rzeczy pospolitéj, czy tam królestwa. Pod lwem ów słynny zegar, należący do rzędu pragskiego, gdańskiego, norymbergskiego; a tem lepszy, bo w dobrym stanie gdy o pragskim gadają, że „opuszczony, bo go nikt naprawić nie zdoła." Tarcz i skazówki misternéj roboty. Błękitna kula, oznacza stanowisko słońca podług dwunastu konstelacyi, składających w ekliptyce zwierzenca, a co pięć minut, wyskakują dwie tablice, wskazujące godziny i minuty. Na samym wierzchu wieży, wybijają dwaj żelazni męże, ogromnymi młotami, godziny i kwadranse; jeden z nich, sądząc według czapki jest „catropiko colono."

Nie byłbym się spodziewał, że będę miał na placu św. Marka, przed kościołem św. Marka, na front owéj wieży zegarowéj, torre dell orologio, rodzaj prelekcyi, albo raczéj predykacyi. Niektórzy bowiem z moich towarzyszów, zaczęli mnie się wypytywać, o znaczenie, tych dwónastu znaków niebieskich, zacząłem im wykładać od znanego hexametru: Sunt Aries, Taurus, Gemini, Cancer, Leo, Virgo, Libraque, Scorpion, Arcitenens, Caper, Amphora, Pisces.

Łacińskie te wyrazy, postac naszym Włochom obca, może i mój order, zbiałych, czerwonych i żółtych tasiemek, moja mina astronomiczno-dydaktycza. ściągnęły mi wielkie, audytoryum, z ambulantów in aprico, cieszących się ze swego „dolce farniente." Ale ich skłonność do nauki prawdziwie włoska, dająca poznać jednogodzinną tylko bliskość Padwy sławnéj matki wszech nauk, a zawsze jeszcze słynnéj dobrym uniwersytetem.

Jak się zaczęli wypytywać, słuchać z ciekawością, wdzięcznie wyjaśnienia przyjmować: a ja obracam się na Włoszczyznie, jak włoszczyzna w rosole, łatam łacinę, francuzczyzną, niemczyzną. — Przecież szło dobrze i wyjaśniam, że początek tych nazw jest uzasadniony na podobieństwie konstelacyi w tym pasie w którym słońce pozornie chodzi, i na zatrudnieniach, zwłaszcza rólniczych, które na ten czas przypadają, że baran „Byk" oznacza wychodzenie wiosenne mniejszego a potem większego zwierza domowego na wolną paszę „Bliźnięta" ciepło czerwcowe i kąpanie ciała. „Rak" wsteczny chód słońca. „Lew" gorąca Afrykańskie w lipcu. „Panna" z sierpem i kłosem, znaczy dożynki. „Waga" zrównoważenie się w wrześniu dnia i nocy. „Szkorpion" choroby październikowe. „Strzelec" polowanie wielkie. „Koziorożec" najdalsze oddalenie się słońca, jakoby na szczyt skały. „Wodnik" topnienie lodów w lutym. „Ryby" ich świeży połów w marcu. —

Moi słuchacze podają mi dłonie, ściskają, a w odwet toż owo tłumaczą; że trzy wysokie maszty umocowane na trzech wysokich piedestalach, misternie wyrobionych ze śpiżu, z godłami różnemi zamiast bander, oznaczają zawojowanie przez Rrzeczpospolitę trzech królestw, Cypru, Kandyi i Morei i zabranie im armat i okrętów! Inni wskazują mi stojącą oddzielnie obok Bazyliki dzwonnicę zawierającą dzwon św. Marka (Campanile di S. Marco), czworogranną a 284' wysoką: chwalą się jak to ich rodak, Włoch, Bonaparty, pan kiedyś całéj prawie Europy, i „regeneratoro di regno Polonia"? wjechał do téjże wieży konno, i podjechał, zawsze po kręconych wschodach, w górę aż pod sam dzwon, co to jego sławę, i naszego Henryka Dąbrowskiego zwycięstwa we Włoszech nad Austryakami, tak często rozgłaszał. „Ubi sunt, qui ante nos in mundo fuere?".

Dalszy ciąg nastąpi.

Baśnie polityczne.

Spór między Austryą a Prusami zakończył się zjazdem w Salzburgu; państwa obce trzymają się zdala tego sporu, bo wcaleby Francyi nie zależało na tem, aby przeszkodzić domowéj wojnie w Niemczech. Anglia niezmieniłaby swéj neutralności — Rosya zaś oczekiwałaby rezultatu.

Do Independence belge piszą z Paryża: że między gabinetami petersburgskim, austryjackim i pruskim, porozumiewano się z powodu spraw szlezwicko-holsztyńskich, a raczéj z powodu sporu austryjacko-pruskiego. Dziennik ten mniema, że położenie było naprężone tak, iż mocarstwa zagraniczne nie mogły pozostać obojętnemi dłużej, i że musiały się porozumiewać nad tem, jakie zająć stanowisko w przypadku, gdyby spór przybrał rozmiary groźniejsze. Austryi rokowania te nie były obce.

Rozmaitości.

Dzisiaj zdarzyła nam się miła sposobność widzenia programu nowego pisma pod nazwą **Oświata**, które od 1 Października w poszytach pod Redakcyą p. Rzepeckiego i Gaislera tutaj w Poznaniu wychodzić zacznie. My z naszéj strony każdy objaw na polu naukowem nie kłamaną witamy radością. „Szcześć Bożę nowemu temu Oraczowi na polu naukowem," oby! praca ta obfite przyniosła plony. „Jeszcze raz więc Szcześć Boże."

Młody nasz artysta Bolesław Syrewicz udarowany został od papieża pięknym medalem; pierwszy raz się zdarza: że pierwsza robota zjednała artyście w stolicy tak wielkiéj w działach sztuki jak Rzym taki tryumf.

W Polityque imperiale, która mieści wszystkie mowy cesarskie, znajduje się ważna mowa tronowa z 1864, która utrzymując historyczne prawa Polski, położyła alternatywę kongresu lub wojny — mowa tronowa z r. 1865, zapowiadająca pokój ostrzegła, że gwałt nie rozstrzyga kwestyi.

La France donosi, że w ciągu dwóch dni przybyło do Paryża 300,000 osób na uroczystość 15 Sierpnia i uroczystość morską do Cherbourgu — w Paryżu festyny nie bardzo się udały dla ulewnego deszczu, teatra wszystkie, których w tem wielkiem mieście przeszło 50 przepełnione były — w Cherbourgu napływ niezmierny Francuzów, Anglików i innych cudzoziemców, powietrze było przecudne, morze spokoniuteńkie — zatoka napchana okrętami. — Cesarski yachcik Reine Hortense ulubiony statek cesarskiéj rodziny, mieścił w sobie, ministra francuzkiego Chasseloup-Laubat i znakomitości inne.

W Paryżu panuje choroba orderowa; Monitor ogłosił kilkanaście złam pisma swego nazwiskami orderem legii honorowéj udekorowanych.

Otworzono w Warszawie moskiewskie gymnazium najwspanialej wybudowane i najlepiej dotowane, liczy 140 uczni, bo chociaż dużo moskali w mieście, dzieci ich nie wszystkie uczęszczają do wspomnianego gymnazium, zakład ten ma najmniej uczni z wszystkich szkół warszawskich, bo w innych szkołach najmniejsza ilość od 400 się poczyna.

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha.